



Kryminał z myszką

53

Dwa włosy blond

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

DWA WŁOSY BLOND

Kryminał z myszką – Tom 53

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-47-8

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1960, seria „Labirynt”

Rozdział 1

Zabielski odstawił pustą filiżankę na tacę, otarł usta chusteczką i spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do dziewiątej.

Zapalił giewonta i wyniósł tacę do kuchni. Potem zagapił się bezmyślnie na krzak białego bzu rozkwitający w dole pod oknem kuchennym, tuż obok furtki.

– Tadeusz! – doleciało go z pokoju ciche wołanie.

Drgnął, zgasił pośpiesznie papierosa i zawrócił z powrotem.

– Nie śpisz? – zapytał stając obok tapczanu.

Anna spojrzała na niego uważnie. Twarz miał bladą, jakby zmiętą, pod oczami głębokie cienie. Lewa powieka znowu opadała bezwładnie.

– Tadek, czy coś się stało? – głos jej brzmiał niepewnie. Zawsze była taka niepewna, nieśmiała, usuwająca się każdemu z drogi. I za to właśnie ją kochał.

Przysiadł z westchnieniem na brzegu tapczanu.

– Nie, skądże – mruknął. – A bo co?

– Źle wyglądasz. Nie spałeś w nocy.

– Ząb mnie bolał. Pójdę dziś do dentystki.

– Idź, koniecznie. Może tam się coś robi pod plombą. Pokaż, czy nie spuchłeś? Który to ząb?

– Górny. No, na mnie czas. Pa, kochanie! – ucałował żonę, włożył popielaty gabardynowy płaszcz i wyszedł na korytarz.

Przechodząc obok sąsiednich drzwi, mimo woli ściszył kroki. Ekspedientka Danuta Kretz, drugi lokator na piętrze willi, miała zwyczaj spać do dziewiątej. Znajac jej ostry język, wołał nie narażać się na kłótnię od samego rana.

Schodził powoli ze schodów, które z piętra prowadziły do hallu. Dwa pokoje na parterze zajmował Stanisław Okołowicz, kierownik 17 Wydziału Finansowego, sześćdziesięcioletni pan o twardym, surowym spojrzeniu bladoniebieskich oczu.

– W jaskini lwa... – szepnął Zabielski do siebie, cicho stąpając po wytartym, czerwonym dywanie. Przejrzał się w lustrze wiszącym w hallu na ścianie, poprawił kapelusz. W tej samej chwili usłyszał za sobą lekkie kroki żony. Anna schodziła po butelkę z mlekiem.

Nagle ręka, którą Zabielski przesunął trochę w lewo rondo swego hückla [marka znanej firmy kapeluszniczej], zastęła w miejscu, a oczy jego rozszerzyły się zdumieniem. W błyszczącej tafli zwierciadła zobaczył uchylone drzwi, wiodące do pokoju na wprost frontowego wejścia.

Od trzech lat, to znaczy od chwili zamieszkania Zabielskich w willi, nie zdarzyło się, aby Okołowicz przed wyjściem do pracy – a wychodził na ósmą rano – nie zamknął starannie na klucz drzwi od swego gabinetu. Nie zdarzyło się również, aby choć raz zachorował, o czym skrycie marzyli niektórzy z jego podwładnych.

A teraz najwidoczniej był w domu.

– Popatrz – powiedział Zabielski do żony – nie poszedł dziś do pracy.

Anna, również zdziwiona, spojrzała na uchylone drzwi, a potem na wiszący w hallu kalendarz.

– Dzisiaj pierwszy czerwca – szepnęła. – Może go przenieśli na emeryturę?

– Myślisz?...

W głosie Zabielskiego było jakieś podniecenie. Postąpił parę kroków w kierunku gabinetu i zajrzał ostrożnie do środka. Potem odwrócił się do żony i rzekł ze zdumieniem:

– Śpi przy biurku. W ubraniu!

– Może zachorował? Podejdź bliżej.

Okno w pokoju było zasłonięte. Zabielski powoli poruszał się w mroku podchodząc do biurka. Nagle krzyknął, cofnął się, potem zawrócił i wybiegł szybko do hallu. Twarz jego była biała ze strachu, oczy wytrzeszczone.

Anna mimo woli przycisnęła dłoń do serca. Biło szybko, nierówno.

– Tadeusz, co się stało?

Zabielski zatrzasnął drzwi do gabinetu.

– On nie żyje – powiedział ochryple. – Zabity. Pełno krwi... Nie wchodź tam, słyszysz?

– Boże mój – szepnęła – nie żyje?

Nagle oboje drgnęli. W gabinecie zadzwieczał telefon. Nie wiadomo dlaczego Zabielski wyobraził sobie, że martwa, zimna dłoń podniesie teraz słuchawkę, a dobrze znany głos powie: – Słucham, Okołowicz...

Zacisnął zęby. Telefon nie przestawał dzwonić.

– Trzeba odebrać – mruknął, wiedząc dobrze, że za nic w świecie nie wejdzie drugi raz do tamtego pokoju.

– To pewnie z jego biura – Anna oparła się o poręcz schodów. Przejęły ją dreszcze.

Gdy dzwonek wreszcie umilkł, jakby zniechęcony, stali jeszcze przez długą chwilę, spoglądając na zamknięte drzwi, za którymi przyczaiła się śmierć. W kuchni na dole zegar wybił dziewiątą.

– Może zbudzić panią Kretz? – spytała Zabielska. Tadeusz spojrzał na nią na wpół przytomnie. Widząc, że nie odpowiada, weszła na górę. Chwilę czekała pod drzwiami pokoju sąsiadki, wreszcie zastukała nieśmiało.

Danuta Kretz nie spała. W jasnobłękitnym szlafroku, wysoka, smukła, czarnowłosa, spojrzała na Annę z lekkim zdziwieniem i Zabielska, po raz nie wiem już który, odczuła bolesny skurcz w sercu na widok jej niepokojąco pięknej twarzy.

– Chciała pani czegoś? – spytała ekspedientka. Poprawiła wysoko upięte włosy i ziewnęła.

– Trzeba... nie wiemy... pan Okołowicz nie żyje – wyjąkała Anna, wyłamując nerwowo swoje drobne, szczupłe palce. Bała się tej dużej, silnej kobiety, bała się właściwie wszystkiego i wszystkich, a w tej chwili przede wszystkim tego, co kryły za sobą zamknięte drzwi gabinetu.

– Co pani plecie? – zdziwiła się Danuta, wychodząc na korytarz. – Mąż już poszedł?

– Jest na dole. Może... chyba... proszę zejść, dobrze?

Sprzedawczyni śmiało otworzyła drzwi, podeszła do biurka i z twarzą ściągniętą grymasem wstrętu przyjrzała się ciału skurczonemu w fotelu. Potem zdecydowanym ruchem sięgnęła po słuchawkę telefonu.

– Jaki numer ma milicja? – rzuciła przez ramię w stronę Zabielskiego.

Ten przełknął ślinę i cofnął się o krok.

– Nie wiem – mruknął. – Tam pewnie leży książka. Chce pani dzwonić na milicję?

– A co pan proponuje lepszego? – spojrzała na niego z zainteresowaniem. – Poćwiartować i spalić w piecu? To trzeba było zrobić od razu.

– Jezus Maria! – krzyknęła Anna. Zrobiło jej się słabo.

– Pani oszalała? – Zabielski rzucił się w stronę ekspedientki, ale rozdzielał ich fotel, na którym leżały zwłoki.

Danuta Kretz, nie czekając na odpowiedź, nakręciła numer Komendy Miasta MO. Zabielski patrzył na nią jak zahipnotyzowany, gdy spokojnie i rzeczowo rozmawiała z dyżurnym oficerem. Patrzył i coś rozważał w duchu.

Milicyjna warszawa z piskiem opon zahamowała przed willą.

– Tutaj – powiedział kierowca. – Numer szósty.

Z wozu wyskoczyło trzech funkcjonariuszy. Mieli ze sobą walizki śledcze, aparat fotograficzny i przyrządy pomiarowe. Ostatni wysiadł szczupły, niewysoki mężczyzna w szarym ubraniu. Miał jasne, prawie białe włosy i śniadą twarz. Jego czarne podługne oczy obrzuciły szybkim spojrzeniem willę, niewielki ogródek i mężczyzna powiedział do milicjantów:

– Wejdźcie. Za chwilę przyjdę.

Gdy zniknęli w drzwiach, obejrzał bardzo dokładnie furtkę, kwitnący obok krzak białego bzu, a potem chodnik, ułożony z kamiennych płyt, wiodący od furtki do willi i zakończony przy drzwiach paru schodkami.

– Tak... – mruknął do siebie, wyjmując z kieszeni pincetkę. Przykłęknął i ostrożnie chwycił szczypczykami coś, co tkwiło na brzegu jednej, trochę wystającej płyty chodnika. Przyjrzał się temu z zaciekawieniem, a potem schował do maleńkiego pudełeczka, pomiędzy dwie szklane tafelki.

W otwartych drzwiach stanął fotograf.

– No? – zapytał mężczyzna, nie patrząc na niego. Był w tej chwili zajęty oglądaniem krzaka niskopiennej róży rosnącej obok płyty. Krzak pokrywały drobne, bladoróżowe pączki.

– Czekamy na was, kapitanie.

– Wiem.

Z kolca jednej łodyżki zdjął brązową nitkę, zawieszoną tam niczym mikroskopijna chorągiewka. Fotograf wycelował aparat na chodnik. Jeżeli kapitan Szczęsny – Biały Kapitan, jak go w Komendzie nazywano – zajął się wpierw tymi płytami, zamiast iść do trupa, to znaczy, że trzeba zrobić to samo. Zresztą trup nie ucieknie.

– Chodnik, krzak bzu, krzak róży i schodki – powiedział jasnowłosy mężczyzna do fotografa. Podniósł się z klęczek, starannie otrząpał kolana i rozejrzawszy się raz jeszcze dokoła, wszedł do willi.

Sierżant Otoczko zaprowadził już całą trójkę lokatorów do hallu, usadowił na krzeselkach i rozpoczął spisywanie personaliów. Drugi milicjant stał w tej chwili nieruchomo na środku gabinetu, jakby zastanawiając się, od czego zacząć.

Kapitan Szczęsny rzucił krótkie spojrzenie na zebranych i zatrzymał trochę dłużej wzrok na ekspedientce. Bardzo ładna – stwierdził z niechęcią. Bardzo lubił ładne kobiety, ale nie w czasie śledztwa.

Zatrzymał się chwilę na progu gabinetu, potem podszedł do biurka. Jego ręce w cienkich rękawiczkach dotykały ostrożnie zwłok, nie zmieniając ich pozycji. Odchylił lekko głowę zmarłego. Okołowicz miał oczy na wpół przymknięte, a na czole, koło prawej skroni, mały siniec nabiegły krwią.

Kapitan rozejrzał się i ujął w rękę ciężki marmurowy przycisk, który leżał przewrócony na samym brzegu biurka. Stojący przy oficerze milicjant wyjął pudełko z argenteratorem i szybko, zręcznie opylił pędzelkiem marmurową powierzchnię. Pochylili głowy.

– Bardzo wyraźne – powiedział milicjant.

– Mhm – mruknął Szczęsny, przyglądając się odciskom linii papilarnych, które ukazały się na przycisku. – Ale uderzenie było za lekkie, aby mogło być śmiertelne. Przycisk go tylko ogłuszył. A potem... – Z pewnym trudem ściągnął ze sztywnego ciała marynarkę, rozpiął i zsunął zakrwawioną koszulę. Mały otwór wlotowy pocisku znajdował się pod lewą łopatką.

– W samo serce – mruknął, szukając na piersiach zmarłego wylotu pocisku, ale go nie znalazł.

– Siedzi – rzekł milicjant. Podszedł w kierunku drzwi, schylił się i podniósł z dywanu łuskę. Dwie pary oczu obejrzały ją uważnie.

– Siódemka, kapitanie. Browning „FN”.

Szczęsny potrząsnął głową.

– Nie, Sauer-Sohn. Ale ten sam kaliber – 7,65. Wyrzutnik obluzowany. Ciekawe, ten typ pistoletu rzadko się u nas spotyka.

– Strzelił, stojąc gdzieś koło drzwi.

– Tak. W plecy.

Popatrzyli na siebie. Kapitan skrzywił się.

– Najpierw ogłuszył, a potem strzelił z tyłu, pod łopatkę – powiedział.

– Może uderzony się poruszył, a tamten, już odchodząc, zauważył to i „poprawił” z pistoletu?

– Wątpię. Uderzenie było słabe, absolutnie nie mogło być śmiertelne. Zabójca wiedział chyba, co robi. Chociaż, jeżeli uderzyła kobieta... Weźcie zaraz tym trojgu odciski palców.

Milicjant wyszedł. Szczęsny przejrzał pobieżnie rozrzucone na biurku papiery, potem sięgnął do marynarki Okołowicza i wyjął z niej portfel z dokumentami. Odkładał powoli inna bok: dowód osobisty, dwieście złotych, legitymację związkową, legitymację partyjną, bilet miesięczny, notes – ten odłożył oddzielnie. Z jakiejś przegródki wystawał różek białej, twardej karty. Kapitan przeczytał jej treść i sięgnął znowu do kieszeni marynarki. Ale nie było w nich tego, czego szukał. Nie powinno było zresztą być, takich rzeczy w domu nie nosi się w kieszeni. Odsunął więc ostrożnie ciało wraz z fotelem od biurka i popatrzył na szuflady.

Były otwarte. Przy środkowej wisiał pęk kluczyków z okrągłą, płaską dewizką czy brelokiem. Na metalu dewizki nie było wprawdzie widać żadnych odcisków linii papilarnych, ale nie znaczyło to jeszcze wcale, że ich tam nie było. Szczęsny umieścił klucze w oddzielnym pudełeczku z wata. Potem przeszukał wszystkie szuflady. Nigdzie nie znalazł jednak pistoletu.

– Sierzancie! – zawołał w stronę hallu.

Otoczko wszedł do gabinetu.

– Słucham, kapitanie?

– Zabito go z pistoletu Sauer-Sohn 7,65. Miał w kieszeni pozwolenie na broń. Właśnie na Sauera 7,65. Ale pistoletu nie ma w biurku ani w kieszeniach. Trzeba przeszukać cały dom.

– Wygląda na to, że rąbnięto go z jego własnej broni – powiedział sierżant, rozglądając się po pokoju. – Tam obok jest sypialnia. Ano, poszukamy.

– Jak przyjedzie doktor Stern, dajcie mi znać. Na razie porozmawiam sobie z tą trójką. Przysyłajcie po jednym do – zawahał się – do tej sypialni.

– Kogo chcecie wpierw?

Szczęsny spojrzał przez otwarte drzwi do hallu.

– Tę małą, co siedzi pod lustrem. Wygląda, jak by miała zaraz zemdleć. Dajcie mi ich personalia i dowody.

Przeszedł do sąsiedniego pokoju. Tapczan, pościelony już, widać przygotowany wczoraj do snu, duża szafa ubraniowa, toaleta, jakieś drobiazgi ze szkła i porcelany poustawiane na półkach i potężnie zakurzone... w kącie na wpół uschnięta palma. Okołowicz owdowiał dwa lata temu i w mieszkaniu czuło się brak kobiecej ręki.

Na stoliku przy tapczanie stała szklanka do połowy napełniona wodą, obok niej leżało pudełeczko z luminalem. Kapitan zajrzał do środka. W otworach, powycinanych w tekturze, były już tylko dwie tabletki. Widocznie kierownik cierpiał na bezsenność.

Szczęsny otworzył szufladę stolika. Pigułki na wątrobę, pastylki przeciwko astmie, bellacorn, polopiryna, proszki od bólu głowy. – Istna apteka – mruknął. Poszukał wzrokiem krzesła, wyciągnął notes i pióro, zapalił papierosa. W tej samej chwili Anna Zabielska stanęła w progu pokoju.

– Proszę, niech pani siada – podsunął jej krzesło.

Spojrzał na bladą, drobną twarz, okoloną ciemnymi włosami, na ręce zaciśnięte nerwowo i zapytał:

– Czy pani pali?
– Nie – odparła zdziwiona.
– Nazywa się pani Anna Zabielska, lat 32, z zawodu urzędniczka, obecnie nigdzie nie pracująca, tak?
Potwierdziła ruchem głowy.
– Ciągłe choruję – dodała, jakby w formie wyjaśnienia. – Prawie nie wychodzę z domu.
– Proszę mi opowiedzieć, kiedy i jak dowiedziała się pani o śmierci Stanisława Okołowicza.
Wolno, zacinając się i zatrzymując dla nabrania pełnego oddechu, zaczęła opowiadać, jak mąż rano wstał do pracy, jak zeszedł ze schodów, a ona wyszła za nim, aby odebrać mleko, które mleczarka codziennie rano stawia na schodkach pod drzwiami... jak potem mąż wszedł do gabinetu i zobaczył zwłoki.
– Czy pani też wchodziła?
– Nie. Och nie! – wstrząsnęła się ze strachu.
– Kiedy ostatni raz widziała pani Okołowicza?
– Wczoraj po południu, kiedy wracałam ze sprawunkami, spotkałam go w hallu.
– Rozmawialiście?
– Tak, parę słów... Pytał, jak się czuję.
– Czy był taki sam, jak zawsze?
Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.
– Okołowicz?
Błyskawiczny refleks i myśli kapitana zrobiły nagły skok.
– Nie, pytam przecież o pani męża.
Zobaczył, jak twarz jej pokrywa nagły rumieniec. Milczała, znów nerwowo wyłamując palec.
– Nie wiem... myślę, że... chyba... Każdy ma czasem jakieś kłopoty. W nocy bolał go ząb, nie mógł spać...
– Czytał w łóżku wieczorem i nie dał pani zasnąć, prawda?
Błady uśmiech przeminął po jej nie umalowanych wargach.
– Ja nigdy nie zasypiam przed północą – odparła. – A wczoraj Tadeusz był u znajomych, wrócił o drugiej... – urwała przestraszona.
– Przecież wrócił, jak pani już spała, więc skąd pani wie, że była druga godzina?
– Zbudziłam się. Mam lekki sen.
– A sąsiadka państwa też późno wróciła?
– Och nie. Ona... ona była wieczorem w domu. Mamy na górze wspólną kuchnię i łazienkę. Słyszałam, jak chodziła.
– Kiedy widziała ją pani ostatni raz przed zaśnięciem?
– Gdzieś koło ósmej wieczór. Robiłam sobie w kuchni kolację, a pani Kretz weszła po wodę do maszynki.
– Jakiej maszynki?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI